

Kreatywność nie jest doceniana w polskiej szkole – przeczytaj rozmowę z Tomaszem Elbanowskim

W Polsce jest dziedzictwo pruskiego kształcenia urzędników, co widać wyraźnie w rywalizacji między uczniami. Szkoła staje się polem dla wyścigu szczurów – w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Paideia polska przeczytaj rozmowę z Tomaszem Elbanowskim z Fundacji Rzecznik Praw Rodziców.

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): Dlaczego zaangażowali się Państwo społecznie przeciwko obniżeniu wieku obowiązku szkolnego? Dlaczego ta sprawa była tak ważna?

Tomasz Elbanowski: Zaangażowaliśmy się przede wszystkim jako rodzice. Mieliśmy dzieci w wieku, którego dotyczyła reforma.

Przyjrzeliliśmy się dokładnie temu pomysłowi i zorientowaliśmy się, że jest to bardzo kiepski pomysł, krzywdzący dla dzieci. Tak naprawdę w wysłaniu sześciolatków do szkół nie chodziło o to, żeby wcześniej dotrzeć do nich z edukacją, bo już wcześniej sześciolatki były objęte obowiązkową zerówką, tylko o to, żeby odebrać im rok przedszkola. Z różnych powodów, przede wszystkim dla oszczędności.

Zorientowaliśmy się, że samorządy w różnych miejscach Polski zaczęły już wcześniej podejmować podobne działania i wszędzie spotkało się to z protestem rodziców, często skutecznym. Taka sytuacja była między innymi w Łodzi, w Poznaniu czy w Gdańsku. Rodzice z Gdańska podjęli

wspólnie z nami ogólnopolską akcją Ratuj Maluchy. Co ciekawe rok wcześniej gdy skutecznie zablokowali w swoim mieście wysłanie sześciolatek z przedszkoli do szkolnych zerówek ich oponentem była wiceprezydent Gdańska do spraw oświaty Katarzyna Hall. Ta sama która już jako minister była autorką reformy obniżenia wieku szkolnego.

Generalnie, towarzyszyło nam przekonanie rodziców, że najlepsze miejsce edukacji dla sześciolatka to przedszkole, gdzie ma edukację przez zabawę, przez ruch, dużo przebywa na świeżym powietrzu, ma trzy albo cztery posiłki. Zarówno pod względem edukacyjnym, jak i opiekuńczym są to warunki dostosowane do potrzeb rozwojowych tak małego dziecka. Wysłanie tych dzieci do szkół było przedwczesnym narzucaniem im edukacji w powszechnym w Polsce trybie ławkowo-dzwońkowym, na który gotowe są zwykle dopiero siedmiolatki. Tymczasem najmłodsze z dzieci objętych reformą miały zaczynając pierwszą klasę 5,5 roku. Wymagania i warunki szkolne nie zostały dostosowane do ich potrzeb. Można powiedzieć, że te dzieci zostały skazane na edukacyjny falstart.

Reforma weszła w życie w 2009 roku, ale w ciągu pięciu lat pozostawiono rodzicom wolny wybór. W tym czasie ponad 80% rodziców decydowało się by ich sześciolatki uczyły się w edukacji przedszkolnej a nie w 1 klasie. Do szkół trafiła już jednak duża grupa sześciolatek, od 4% w 2009 do 18% w kolejnych rocznikach. Obserwowaliśmy w fundacji efekty i niestety okazało się, że pojawiły się w dużej skali problemy, przed którymi ostrzegaliśmy. Dzieci, które normalnie, idąc w wieku 7 lat byłyby bardzo dobre w swojej grupie rówieśniczej, musiały jako sześciolatki od początku nadganiać program, czuły się gorsze, frustrowały zadaniami ponad siły. Nasze obserwacje potwierdziło badanie Instytutu Badań Edukacyjnych, który stwierdził w

roku 2014 roku, gdy do szkół poszło obowiązkowo pierwsze pół rocznika sześciolatków, że co dziesiąte z tych dzieci wymaga od początku wyrównywania zaległości. Rząd, który zamiast zostawić wolny wybór uparł się forsować reformę wbrew woli rodziców, skazał te dzieci na rozpoczęcie nauki z kulą u nogi. Problem nie kończył się w pierwszej klasie, ale rósł i w czwartej klasie gdy rozpoczyna się nauczanie przedmiotowe, dzieci często nie były sobie już w stanie poradzić z nauką. Nie dlatego że były mało inteligentne. Po prostu potykały się, bo wsadzono je w za duże buty i kazano biegać.

Na szczęście w protest przeciw temu pomysłowi zaangażowała się ogromna grupa osób. W ciągu ośmiu lat w trzech akcjach społecznych zebraliśmy w sumie ponad 1,6 miliona podpisów. W końcu po ostatnich wyborach nowy rząd przyznał rację obywatelom, zwracając rodzicom ich konstytucyjne prawo do decydowania o edukacji własnych dzieci. I znów ponad 80% wybrało zerówki zamiast 1 klas.

Warto wiedzieć, że nie tylko w Polsce zorientowaliśmy się, że przedwczesne wysyłanie dzieci do szkoły to zły pomysł. 10 lat wcześniej z podobnego pomysłu, po krótkim eksperymencie wycofała się Litwa. Mieliśmy też jako akcja rodziców wsparcie ekspertów nie tylko z Polski, takich jak Dorota Dziamska, ale np. z Wielkiej Brytanii. Również na Wyspach jest bowiem ruch, który mówi o złych skutkach przedwczesnej formalnej nauki - „Save the childhood”. Światowej sławy ekspert od edukacji małych dzieci prof. David Whitebread z Uniwersytetu w Cambridge rok temu przyjechał na nasze zaproszenie do Polski i spotkał się z świeżo wybranym prezydentem Andrzejem Dudą. To był ważny moment dla późniejszej zmiany i wycofania z reformy.

Jakie są Pana zdaniem najważniejsze problemy związane z systemem edukacji dziś w Polsce?

Problemów jest dużo, jednym z najpoważniejszych jest duża skala likwidacji szkół i przedszkoli. W ciągu ostatnich 25 lat ubyło nie setki lecz tysiące placówek. Przez wiele lat działaniami centralnych władz oświatowych rządziło zbywanie odpowiedzialności za edukację na poziom lokalny a działaniami władz lokalnych źle rozumiana oszczędność. Z perspektywy samorządów szkoły i przedszkola to przede wszystkim koszty. W wielu gminach wydatki na edukację sięgają połowy budżetu, często nawet dużo więcej, więc oszczędza się na czym tylko można, nierzadko brutalnie. Przywołać można dwa przykłady. Wiceprezydent Krakowa, która mimo dużych protestów społecznych likwidowała kuchnie szkolne a nawet zaproponowała, żeby dzieci przejęły sprzątanie, co pozwoli zaoszczędzić na etatach woźnych. Drugi przykład to Krosno Odrzańskie gdzie radni mimo ogromnych protestów społecznych podjęli decyzję o likwidacji połowy szkół w gminie, obradując oddzieleni od publiczności barierkami i kordonem policji. W Polsce likwidowano szkoły małe i duże, również takie które wyróżniały się wynikami w skali województwa. Dzieci trafiały do wielkich, tańszych w utrzymaniu zespołów. W rozległych gminach oznaczało to na przykład konieczność spędzenia w gimbusie dwóch godzin dziennie w drodze do i z szkoły.

Każdy z trzech projektów obywatelskich, które złożyliśmy w sejmie poruszał problem konieczności powstrzymania likwidacji szkół.

Podstawowym problemem są też warunki opieki i nauki w szkołach. Świetlice są przepełnione lub ich brak, zdarzają się szkoły w których dzieci nie mają szatni i siedzą cały dzień w ławce w zimowych butach. Wynika to z braku określonych prawnie standardów, co daje pole do

oszczędzania na czym tylko można. Bardzo poważną kwestią jest dziś brak dostępu do ciepłego posiłku w ciągu dnia, czasem szkoły nie mają stołówek częściej jedzenie jest zbyt drogie i marnej jakości po likwidacji kuchni i przejściu na catering. Kontrole w szkołach wykazały również brak dostępu dzieci do wody pitnej, którą uczniowie muszą przynosić z domu na plecach jak juczne muły. Taka sytuacja w publicznej oświacie byłaby może do wyobrażenia w krajach Afryki Subsaharyjskiej. W Polsce to już po prostu krzyczący absurd.

Zmorą polskiej szkoły jest też nauka w systemie zmianowym. W skali Europy to ewenement. Zmianowość charakteryzuje kraje trzeciego świata, przeludnione, takie jak Pakistan czy Indie, jest nieznaną w krajach rozwiniętych. W Polsce zmianowość była może zrozumiała w latach 80-tych, kiedy jeden rocznik liczył nawet 800 tysięcy dzieci. Dziś gdy rodzi się coraz mniej dzieci, około 350-400 tysięcy w roczniku, utrzymanie nauki na dwie, a miejscami nawet na trzy zmiany nie znajduje uzasadnienia. Nauka na drugą zmianę dla młodszych dzieci właściwie mija się z celem. Dzieci są formalnie objęte edukacją, w papierach wszystko się zgadza, tyle, że w późniejszych godzinach popołudniowych nie są już w stanie przyswoić wiedzy. Była nawet decyzja Sanepidu w Tarnobrzegu, która zakazywała nauki na drugą zmianę pierwszym klasom.

Nauka przedszkolna jest perłą polskiej edukacji. To w obronie prawa do tej nauki dla sześciolatków podjęliśmy akcję Ratusz Maluchy. Niestety mimo szumnych deklaracji władz, edukacja przedszkolna od wielu lat nie jest priorytetem. Na przykład władze Warszawy w roku 2009, ogłoszonym przez minister edukacji Rokiem Przedszkolaka, nie zbudowała ani jednego nowego przedszkola, choć znalazła pieniądze na dofinansowanie stadionu piłkarskiego kwotą pół miliarda złotych. W tym samym roku Warszawa wyrzuciła dzieci z zerówek przedszkolnych,

pod pretekstem braku pieniędzy na utrzymanie oddziałów.

Edukacja wymaga ustalenia standardów, mądrego finansowania i wydaje się że te problemy można rozwiązać tylko na poziomie centralnym.

Osobnym bardzo poważnym tematem jest oczywiście podstawa programowa to znaczy czego chcemy uczyć, gdy już zapewnimy podstawowe warunki przebywania dzieci w placówkach obowiązkowej publicznej edukacji. No i kwestia nauczycieli, którzy mają tę wiedzę przekazywać.

Co sądzi Pan o reformie – likwidacji gimnazjów?

Reforma gimnazjalna podobnie jak obniżenie wieku szkolnego, została wprowadzona wbrew opinii publicznej. Rodzice dzieci starszych niż sześciolatki prosili nas wiele razy, żebyśmy rozszerzyli działania na kwestię gimnazjów i powrotu do ośmioklasowej podstawówki. Zdażali się wśród nich nawet nauczyciele gimnazjum. Uznaliśmy, że podobnie jak w kwestii obowiązku szkolnego sześciolatków, w sytuacji gdy władza narzuciła rozwiązanie wbrew woli społeczeństwa, powinniśmy się odwołać do decyzji suwerena, czyli narodu. W 2013 roku zebraliśmy milion podpisów pod wnioskiem o referendum edukacyjne z pytaniami m.in. o sześciolatki i o gimnazja. W sejmie wniosek poparła cała opozycja a nawet pojedynczy posłowie koalicji. Do ogólnopolskiego plebiscytu zabrakło nam głosów sześciu posłów. Wiadomo jednak z sondaży potwierdzonych przez różne pracownie, że blisko 80% osób poparłaby wówczas w głosowaniu ogólnopolskim powrót do ośmioklasowej podstawówki i czteroletniego liceum.

Zastrzeżenia wobec gimnazjów są przede wszystkim takie, że młodzież wchodząc w trudny wiek dojrzewania zostaje skierowana w nowe, nieznane sobie środowisko pod opiekę nauczycieli, którzy dopiero ją poznają. Ma to często złe efekty wychowawcze i edukacyjne. W ośmioklasowej podstawówce dyrekcja i wychowawcy znali konkretne dzieci i zupełnie inaczej przebiegał proces wychowawczy. Także pod względem edukacyjnym spójniejszy wydawał się system z dłuższą szkołą podstawową i dłuższym liceum.

Jako historyk z wykształcenia, jak ocenia Pan stan edukacji historycznej? Kwestia ta była szeroko dyskutowana kilka lat temu w kontekście zmniejszania liczby godzin przeznaczonych na naukę tego przedmiotu.

Kwestia nauczania historii jest podstawowa, jeśli chodzi o tożsamość i budowanie wspólnoty narodowej i obywatelskiej. Zmiana programowa wprowadzona przez minister Hall w 2008 roku była na tyle poważna i na tyle groźna, że środowisko naukowe z prof. Andrzejem Nowakiem na czele podjęło akcję „Ratujmy historię”. Niezależnie od niej w kilku miejscowościach zostały nawet podjęte głodówki protestacyjne. Z tej racji, we wniosku o referendum obywatelskie, pod którym zbieraliśmy podpisy, było powrót do podstawy programowej uwzględniającej pełne kursy przedmiotów w liceach. Również dziś jest potrzebne, by powróciło nauczanie ogólnokształcące, nie tylko historii, ale też innych przedmiotów, geografii, biologii, fizyki. Dziś zastąpiły je fakultety np. historię zastąpiły fakultety takie jak „Kobieta i mężczyzna”. Takie warsztaty można sobie robić dla zainteresowanych, w wakacje, ale nie mogą zastępować kursu podstawowej wiedzy o naszych dziejach. Chcemy przecież kształcić obywateli świadomych uwarunkowań w jakich żyją wynikających z naszej historii.

Czy upatruje Pan zagrożenia dla polskiego systemu edukacji w anachronicznym zapóźnieniu wobec wymagań otoczenia społeczno-kulturowego, także wobec poziomu i typu tej edukacji w innych krajach, czy w nieroztropnej i bezrefleksyjnej adaptacji nowoczesnych trendów i pomysłów? Odwołując się do przykładu, akcentuje się czasem np. znaczenie kreatywności, twórczości własnej ucznia, ale zmiana myślenia w tym względzie może prowadzić do zagubienia „złotego środka”; o ile wcześniej nie zwracano na to uwagi, teraz zmiana może wiązać się ze szkodą dla przekazywania wiedzy...

Nie zajmuję się zawodowo teoriami nauczania, natomiast jako rodzic obserwuję sytuację, słucham wypowiedzi ekspertów i porównuję system edukacji z innymi krajami. Na pewno problemem polskiej szkoły jest to, że model edukacji nosi cechy systemu pruskiego z XVIII, XIX wieku, a ten nastawiony był na masowe kształcenie kadry urzędniczej, która nie miała być kreatywna i twórcza, tylko wykształcona w podstawowym zakresie wiadomości i posłuszna. To jest bardzo mocno widoczne w polskim systemie nauczania. Jest akcent na przyswajanie zadanego zasobu informacji i odtwarzanie go na komendę. Są różne elementy, które kojarzą się nie tylko z kształceniem kadry urzędniczej, ale wręcz z koszarami: dzwonki, wychodzenie na komendę, w niektórych szkołach reforma związana z sześciolatkami doprowadziła do takiego kuriozum, że nawet do łazienki szło się na komendę całą grupą, trochę jak w więzieniu. Jeśli chodzi o samą konstrukcję systemu nauczania to pisaliśmy w „Elementarzu dla rodziców 6-latka”, wydanym w tym roku, że modelowy absolwent polskiej szkoły nie przypomina obywatela demokratycznego państwa lecz feudalnego chłopca, który musi wypełniać polecenia pana, czy pani, obciążanego pańszczyzną ponad siły w postaci pracy domowej

angażującej go na wiele godzin po szkole i gotowego w każdej chwili oszukać pana, np. ściągając, by tylko zaliczyć zadanie. Kreatywność jest w polskiej szkole nie tyle niedoceniana co starannie plewiona. Ten problem nasiliła jeszcze testomania. Zapadła mi w pamięć wypowiedź szefa Centralnej Komisji Egzaminacyjnej, który kilka lat temu zaapelował do maturzystów, by kreatywność zostawili w domu na czas egzaminu. To bardzo wiele mówi o naszym modelu kształcenia. W testach odpowiedzi mają być według klucza, badane jest nie rozumienie problemu, lecz to czy uczeń potrafi się dostosować do wymaganego modelu. Bardziej kojarzy się to z tresurą zwierząt niż kształceniem świadomych, wykształconych ludzi.

Polska szkoła jest znana z tego, że przekazuje bardzo dużą porcję wiadomości encyklopedycznych. Po części to dobrze; to wyróżnia polskich uczniów - gdy jadą do Anglii mają więcej wiadomości niż rówieśnicy. Jednak przekazywaniu wiedzy encyklopedycznej, nieraz na poziomie akademickim, towarzyszy pominięcie wiedzy ogólnej, najbardziej potrzebnej. Powiem na przykładzie: nauczanie przyrody w V klasy podstawówki. Dziecko uczy się bardzo szczegółowych informacji na temat systematyki roślin, okrytonasiennych, nagonasiennych. Jest to coś zupełnie niepotrzebnego na tym etapie. Dziecko nie uczy się natomiast o tym jakie są rodzaje chorób, czym się różni bakteryjna od wirusowej, potem nie rozumie diagnozy którą słyszy u pediatry. To oderwanie od życia też jest problemem polskiej szkoły.

Dziedzictwo pruskiego modelu widać wyraźnie w rywalizacji między uczniami. Szkoła staje się polem dla wyścigu szczurów. To zupełnie odwrotnie niż w modelu fińskim, który jest stawiany nieraz za wzór na bardzo dobre wyniki edukacji. Tam stawia się na pracę w grupie.

Z Tomaszem Elbanowskim rozmawiał Adam Talarowski